

Amerykański uniwersytet i jego misja

CHRISTOPHER NEWFIELD*

*Wykładowca na uniwersytecie California - Santa Barbara, autor *The Post-Industrial University: The Culture Wars and the Unmaking of the American Middle Class, 1980-2005* (wkrótce się ukáže).

Przez większość swojej historii amerykański uniwersytet spełniał zadanie, jakie w Europie przynależy państwu opiekuńczemu – był dźwignią postępu ekonomicznego i społecznego. Obecnie jego rola jako czynnika integracji społecznej jest powoli porzucana. Uniwersytet coraz częściej służy jako rezerwuuar siły roboczej i wykonawca usług dla firm. Zarówno w wypadku konkursu “Elite 10” w Niemczech, jak “reform” we Francji, system amerykański nie tyle inspiruje europejskie uczelnie przez swoje zalety, co daje do myślenia przez swoje wady.

W Stanach Zjednoczonych, bogatych w uniwersytety, lecz pozbawionych w gruncie rzeczy struktury czy administracji nauczania, jedynym istotnym kryterium jest mocno podejrzany podział na “dobre” i “złe” uczelnie. W każdym regionie znajdzie się kilka “dobrych”, lecz swoją reputację zawdzięczają zazwyczaj nie tyle jakości programu, co historycznej pozycji, sposobowi naboru studentów, zasobom i liczbie sławnych wykładowców. Wartość college’u w dużym stopniu zależy od tego, jak trudno się do niego dostać. Na przykład Harvard i Stanford przyjmują tylko jednego kandydata na dziesięciu. Takie liczby robią wrażenie, budują atmosferę elitaryzmu, wzmagają żądze i windują “notowania” placówki. Wokół uniwersytetu powstał więc cały przemysł pomagający przyszłym studentom zdać egzaminy wstępne na wymarzoną uczelnię i czynić ich *curricula vita* bardziej atrakcyjnymi. Około 20% studentów przyjętych na wielkie uniwersytety korzystało wcześniej z usług osobistego “trenera”, co może kosztować nawet 30 tysięcy dolarów...

Tylko trzydzieści pięć uniwersytetów przyjmuje mniej niż jednego kandydata na czterechⁱ, w stu jest dwóch kandydatów na miejsce, większość uczelni otwarta jest dla wszystkich. Taki system selekcji sprawia, że nie dba się o podwyższenie poziomu nauczania w ogóle, lecz przyznaje najwyższe środki uczelniom elitarnym, które stanowią zaledwie jeden do dwóch procent całości. W 2006 r. dziesięć najbardziej uprzywilejowanych uczelni podzieliło między siebie połowę wzrostu wszystkich dofinansowań prywatnych w krajuⁱⁱ. Uniwersytet w Stanford, dysponujący już wyposażeniem kapitałowym (“endowment”) wysokości 14 miliardów dolarów, rozpoczął niedawno kampanię w celu zebrania dodatkowo 4,3 miliarda dolarów. Jak widzimy, selekcja pozwala przede wszystkim zapewnić wąskiej elicie prawie nieograniczone środki. Taka nieoficjalna, amerykańska wersja francuskich “grandes écoles”ⁱⁱⁱ. Możliwość “pójścia do college’u”, która była długo wspólnym mianownikiem amerykańskiego społeczeństwa, dziś stała się łupą, przez

którą widać narastające nierówności systemu społecznego.

Sytuacja jakże różna od tej po II wojnie światowej! W tamtych czasach Waszyngton wyznaczył państwowym uniwersytetom misję zredukowania nierówności. Począwszy od 1945 r. Stany Zjednoczone stworzyły wiele publicznych placówek dających niższym klasom łatwy dostęp do wyższego wykształcenia. Stały się też one wyznacznikiem społecznej solidarności. Od 1940 do 1970 r. liczba studentów wzrosła z 1,5 do 8 milionów. W ciągu kolejnych trzydziestu lat powiększyła się jeszcze dwukrotnie.

Ten chwilowy “egalitaryzm” Amerykanie w pewnej części zawdzięczali, paradoksalnie, zimnej wojnie. W antykomunistycznym i antysocjalistycznym klimacie tamtych lat uniwersytet był idealnym instrumentem pozwalającym strukturę społeczną kraju przedstawiać jako merytokrację. Co z kolei uniemożliwiało wszelką politykę otwarcie laburzystowską czy równościową. Powołaniem uniwersytetów było nie tyle kształcenie “klasy robotniczej”, co zamienianie jej w armię “robotników wiedzy” w służbie Ameryki. Taka idea przyświecała prawicowym politykom, godzącym się na zwiększanie wydatków publicznych oraz rządowi federalnemu, szczerze finansującemu college’ę przyjmujące byłych żołnierzy. Wizja zagrożenia ze strony radzieckiej armii usprawiedliwiała z kolei ogromne kredyty na badania naukowe, budżet National Science Foundation^{iv} między rokiem 1952 a 1962 zwiększył się stukrotnie!

A zatem amerykański uniwersytet zawdzięcza dużą część swojej światowej renomy ukrytym procesom socjalizacji kosztów rozwoju kraju. Nastąpił niezwykle wzrost nakładów na szkolnictwo wyższe – nie 5 czy 8, ale 25, a nawet 100%. Te spektakularne dotacje wzbudzały entuzjazm środowisk uniwersyteckich, wyznaczały uczelniom nowy kierunek i pozwalały uwolnić środki niezbędne, by móc zwalczyć pojawiające się w drodze trudności. Ta manna z nieba stanowiła też wspianą szansę dla milionów studentów pochodzących z rodzin, w których nikt dotąd nie miał dostępu do wyższych studiów. Dzięki temu w “ludzie” budziła się świadomość polityczna, świadomość własnej potęgi i pragnienie, by samemu wykuwać swój los.

Na uniwersytecie jednocześnie prowadzono działalność dydaktyczną i badania naukowe. Spełniał on pragnienia zwykłych obywateli, zarazem odpowiadał na oczekiwania intelektualistów, naukowców, biznesmenów i armii. Naukowcy, którzy wcześniej nieczęsto należeli do tradycyjnie rozumianej elity, zaczęli uważać się za jedną z żywotnych sił postindustrialnej gospodarki. Zaczęli też czuć się uprawnieni do większej swobody decyzji i wysokich zarobków. Z kolei studenci stawali się otwarci na ruchy społeczne, tym bardziej, że na kampusach równość płci i ras była nie tylko tolerowana, lecz wręcz dobrze widziana. Zdawało się więc, że uniwersytet łączy w sobie służbę publiczną z doskonałym poziomem, egalitaryzm z bogactwem. Że jest odbiciem coraz bardziej wielorasowej demokracji, pragnącej

przesuwać coraz dalej granice poznania.

Zmiany, jakie nastąpiły po wojnie często były kontynuacją działań niektórych tradycyjnych uniwersytetów, które od dawna przeciwstawiały się regułom ustalonym przez środowiska biznesu. Na samym początku XX wieku konserwatywny rektor uniwersytetu California, Benjamin Wheeler głosił, że jego zadaniem jest “chronić i uwalniać ludzi z niewolnictwa”. Kilka dziesięcioleci później uniwersytet ustanowił zasadę, że prowadzone w nim badania muszą być wolne od presji finansowej i politycznej oraz ogłosił etyczny kodeks pracy intelektualnej, postulując, by to pracownicy naukowcy kontrolowali jakość swojej produkcji, poczynając od kryteriów oceny ustalanych wewnątrz środowiska. Administratorzy tych placówek, często wywodzący się ze środowiska naukowego, byli bardziej skłonni reprezentować i wspierać kadre naukową, niż uginać się przed politykami czy mecenasami. Każdy wydział sam brał odpowiedzialność za nabór i za treść programów nauczania. Jasne, że uniwersytet dalej służył kapitalizmowi, ale pragnął wymknąć się tej zależności i poświęcić się rozwijaniu form postępu ludzkości, różnych od amerykańskiej obsesji gospodarczego wzrostu.

Konsekwencje tego eleganckiego reformizmu szybko stały się widoczne wśród nowej, wykształconej klasy średniej. Pierwszą oznaką przemiany było uczestnictwo studentów w ruchu obrony praw obywatelskich i w demonstracjach przeciw wojnie w Wietnamie. Jednak największym wyzwaniem dla klasy rządzącej była transformacja, jakiej ulegała nowa grupa absolwentów wyższych studiów, dotąd słabo upolitycznionych i przeznaczonych do odgrywania roli głównej sprężyny systemu. Te młode kadry, które wprawiały w ruch gospodarkę, teraz zaczęły kwestionować reguły gry.

Jak pokazuje analiza ekonomisty z Harvardu Johna Kennetha Galbraitha, ta nowa klasa średnia tworzyła pewną “technostrukturę” wylamującą się z autorytarnego systemu. Przedsiębiorstwo uważała za instytucję społeczną, nie zgadzała się z poglądem, że konsumpcja jest jedynym celem pracy i że rozwój należy definiować jedynie w jego aspekcie ekonomicznym. Wykształcone masy, pisał Galbraith, opierały się “potężnym pokusom wejścia w system”, tworząc w ten sposób “mechanizmy emancypacji” w imię “zaniedbanych sfer życia”^v. Tradycyjne elity zaczynały powoli rozumieć, że ta nowa warstwa wykształconych stawała się nośnikiem nowego sposobu myślenia o prawach gospodarczych, politycznych i kulturalnych. Ona z kolei zaczynała pojmować, że jest faktycznym motorem społeczeństwa, że jej praca jest prawdziwym źródłem narodowego bogactwa. Zapragnęła kultury i rozrywek.

Łatwiej zrozumiemy dojście do władzy prawicy w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia, gdy docenimy wysiłek, jaki włożyła ona, by zniszczyć tę socjaldemokrację *à l'américaine*, by ograniczyć jej wpływy i zmniejszyć równościowe skutki jej istnienia. “Wojna kulturalna” zaczęła się od napaści na państwowe

uczelnie o silnych tradycjach społecznych. Atakując “polityczną poprawność” i inne idee powstałe w świecie uniwersyteckim, prawica usiłowała podkopać znaczenie “nowej klasy”. Ataki koncentrują się na tym, co ją najsilniej określało – na walce z rasową dyskryminacją i pragnieniu autonomii w swojej dziedzinie. Ale wymierzone były również w naukowe “zamknięcie”, odcięcie się od logiki rynku, w wiedzę, która nie jest bezpośrednio związana z ekonomią.

Jednym z elementów tej wojny ideologicznej była ekonomiczna walka z aspiracjami i wymogami nowej, wykształconej większości. Jako ramię zbrojne wystąpiły fiskus i prywatyzacja. Sztucznie zaaranżowane problemy z finansowaniem doprowadziły do ograniczenia funduszy na publiczny system edukacji. Redukcja budżetów uniwersytetów państwowych nie brała się ze spadku dochodów podatników, lecz z wyraźnego wycofania części podatków przeznaczonych na wyższe szkolnictwo państwowe, obejmujące wówczas 80% amerykańskich studentów. W przeciągu dwudziestu pięciu lat ich budżety zostały zmniejszone o jedną trzecią. Jeśli chodzi o uniwersytet California, będący w awangardzie naukowej, spadek wynosi 40% licząc od 1990 r.

By wypełnić te braki publiczne uczelnie musiały zwrócić się do sponsorów, szczególnie dla pokrycia pewnych specyficznych badań^{vi}, zaczęły częściej korzystać z prywatnych funduszy i wyraźnie podniosły opłaty. W tym samym czasie dotacje kapitałowe dla prywatnych uczelni (“endowment”), znajdujących się w korzystnej sytuacji dzięki hojności bogatych sponsorów i dzięki roztroprnym lokatom na rynkach finansowych (choć Harvard właśnie stracił 350 milionów dolarów w krachu funduszy spekulacyjnych...) zwiększyły się od 10 do 20% rocznie. Kontrast między bogactwem prywatnych szkół wyższych a kłopotami publicznych uczelni każe tym drugim iść za przykładem pierwszych. Teraz nawet dziekani i szefowie wydziałów dają się wciągnąć w ten taniec, prosząc o wsparcie rodziców, byłych uczniów, władze miejskie.

Jednak w wypadku państwowych uniwersytetów te działania są beznadziejne, czy wręcz absurdalne. Gdyby na przykład uniwersytet California chciał to, co stracił od 2001 r. z publicznych finansów, odzyskać w postaci odsetek od swoich dotacji kapitałowych, musiałby z dnia na dzień zdobyć... 25 miliardów dolarów! Czyli prawie tyle, co Harvard, instytucja licząca czterysta lat^{vii}. Tak więc szybko okazało się, że jedynym możliwym wyjściem z impasu jest podniesienie opłat za naukę. Od roku 2001 wzrosły one dwa razy. A jeśli chce się pokryć braki, trzeba je jeszcze raz podwoić, tak, że sięgną 15 tysięcy dolarów rocznie. Obecnie większość państwowych placówek stara się wykorzystywać fundusze otrzymywane od osób prywatnych na projekty o szczególnym statusie lub takie, które ocenia się jako potencjalnie opłacalne. W ten sposób tworzy się elitarne getta w sercu instytucji, której upadek odbywa się tak cicho, że nikogo to nie porusza. Nie licząc więc małej grupy uprzywilejowanych, prywatyzacja uniwersytetu streszcza się w takim oto równaniu: płacić więcej, by dostać mniej.

Starając się przyciągnąć głównie studentów wypłacalnych, uniwersytety pogłębiają jeszcze społeczną przepaść, zaś biedni studenci prawie zawsze lądują w ubogich uczelniach. Jednocześnie rosną długi studentów i ich rodziców – trzy czwarte amerykańskich rodzin musi zapożyczać się, by sfinansować studia swoich dzieci. Kolejna konsekwencja tego stanu: jest coraz mniej chętnych do pracy w służbach publicznych, absolwenci boją się, że ich przyszłe zarobki, niższe od tych w sektorze prywatnym, nie wystarczą na spłatę kredytów.

Poza tym, by wydać się bardziej atrakcyjne studentom-klientom (klient płaci, klient wymaga) uczelnie coraz większą część swojego budżetu poświęcają na cele inne niż edukacja, takie jak marketing czy upiększanie budynków. Do tego stopnia, że choć czesne i koszty akademików między 1975 a 1995 rokiem wzrosły o 400 %, wydatki na studentów zwiększyły się tylko o 32 %^{viii}. Kolejna rzecz, bardziej ogólna – w miarę, jak rodziny muszą wydawać coraz więcej na publiczne studia dla swoich dzieci, są coraz mniej skłonne dodatkowo opłacać system szkolnictwa przez podatki. Umowa zawarta tuż po wojnie jest w rozsypce – możliwość nauki dla jak największej liczby osób i jej jakość znów zdają się pojęciami sprzecznymi.

Ci, co stoją na czele uniwersyteckiego świata nie zgadzają się na tę, widoczną od ćwierć wieku tendencję. Pragnienie powszechnego dostępu do wiedzy, autonomia zarządzania, szacunek dla publicznych inwestycji, otwarcie na ruchy społeczne, wysoki poziom naukowości, szkolnictwo państwowe – to wszystko było siłą amerykańskiego uniwersytetu. Dziś wychodzą na jaw słabości istniejącego układu społecznego – wykształcenie na wysokim poziomie zarezerwowane jest dla najbogatszych, w inwestycjach stawia się na szybki zysk, struktura społeczna jest niezmienna, konkurencja rodzi wygórowane ceny, zasoby są skoncentrowane na szczycie piramidy. Ten ogólny upadek to bez wątpienia zwycięstwo amerykańskiej prawicy, pieczętuje bowiem kres marzenia o dobrym wykształceniu dla ogółu społeczeństwa. Jest więc dziś ważną sprawą wymyślenie nowej wizji powszechnego dostępu do wiedzy. Lecz bardziej prawdopodobne, że temu zadaniu może sprostać raczej ogół Amerykanów, niż sam uniwersytet.

tłum. Anastazja Dwulit

- i http://colleges.usnews.rankingsandreviews.com/usnews/edu/college/rankings/brief/webex/lowacc_brief.php
- ii Jeffrey Selingo i Jeffrey Brainard, “ The Rich-Poor Gap Widens for Colleges and Students ”, *The Chronicle of Higher Education*, Waszyngton, DC, 7 kwietnia 2006 ;
<http://chronicle.com/weekly/v52/i31/31a00101.htm>
- iii Patrz : Rick Fantasia, “ Délit d’initiés sur le marché universitaire américain ”, *Le Monde diplomatique*, listopad 2004.
- iv Federalna niezależna agencja zajmująca się badaniami naukowymi
- v John K. Galbraith, *Le Nouvel Etat industriel*, Gallimard, Paryż, 1974.
- vi Lire Ibrahim Warde, “ L’université américaine vampirisée par les marchands ”, *Le Monde diplomatique*, marzec 2001.
- vii Christopher Newfield, Henning Bohn, Calvin Moore, “ Current Budget Trends and the Future of the University of California ”, maj 2006 ;
<http://www.universityofcalifornia.edu/senate/reports/AC.Futures.Report.0107.pdf>
- viii Eric Gould, *The University in a Corporate Culture*, Yale University Press, Newhaven (CT), 2003.